

Niemcy się nie uczą

2 lutego 2017

Nasi zachodni sąsiedzi przygotowują się do wyborów parlamentarnych. Napięcia w polityce niemieckiej widoczne są gołym okiem.

Bój toczy się w zasadzie o utrzymanie status quo i przekonanie społeczeństwa, że mimo pewnych „błędów i wypaczeń” kierunek polityki imigracyjnej należy z powodów humanitarnych utrzymać.

Kandydat socjaldemokratów Martin Schulz marzy o zajęciu fotela kanclerskiego, chcąc w kampanii wyborczej brnąć dalej w retorykę spod znaku „Damy radę”. Polityk przyznał, że ma zamiar wpisać na swoje sztandary hasła „solidarności” i „sprawiedliwości społecznej”. Jednocześnie powraca do pomysłu, zgłaszanego wcześniej przez komisję europejską. Chciałby karać finansowo te kraje, które nie chcą przyjmować imigrantów.

Schulz zarzuca m. in. Polsce, że traktuje Wspólnotę instrumentalnie. Bierze pieniądze z funduszy strukturalnych, a jednocześnie odmawia żyrowania masowej imigracji. Pamiętać należy, że przekaz ten skierowany jest w zasadzie do społeczeństwa niemieckiego. Formułując zarzuty pod adresem państw Grupy Wyszehradzkiej, zwolennicy ideologii multi-kulti mogą znaleźć kozła ofiarnego. My, humanitarne Niemcy, przyjmujemy uchodźców. Nasze społeczeństwo wydaje na ten cel miliony euro, musi zmagać się z niepokojami społecznymi oraz spadkiem poczucia bezpieczeństwa – zdają się mówić między wierszami socjaliści.

Politycy nad Sprewą zapominają jednak, że kraje takie, jak Polska, Słowacja, Czechy czy Węgry mają w zborowej świadomości zakodowaną konieczność obrony własnych granic i suwerenności. Kraje państw Europy Środkowej zbyt długo walczyły o wolność i przetrwanie kultury narodowej, żeby teraz chcieć rozpuścić własną tradycję w rzadkiej zupie wielkokulturowego

społeczeństwa. „Przyjęcie przez Niemcy milionów muzułmanów ma być aktem skruchy, zbiorowym oczyszczeniem z traumy nazizmu i żywym świadectwem moralnej wyższości nad innymi.”

Ponadto Niemcy są w stanie zapłacić wysoką cenę za wyleczenie się z kompleksu niechlubnej przeszłości. Dlaczego społeczeństwo niemieckie nadal popiera polityków, których działania przyczyniły się do znacznego wzrostu przestępczości, zagrożeń terrorystycznych i trwałej zmiany struktury społecznej? Mało tego, Niemcy wydali na działania związane z kryzysem imigracyjnym ponad 21 miliardów euro.

Na to pytanie nie da się znaleźć w racjonalnej odpowiedzi. Wysokie koszty budżetowe, terroryzm, wzrost przestępczości i napięć społecznych – trudno to wszystko uznać za powód do dumy. W większości demokratycznych państw każdy polityk z takimi „sukcesami” mógłby liczyć na szczątkowe poparcie. Pokazuje to bardzo dobrze przykład francuskiego prezydenta, dla którego kolejne sondaże są w zasadzie kompromitujące.

Dlaczego więc Niemcy się nie uczą? Powody są przynajmniej trzy.

Po pierwsze, niemieckie korporacje widzą w imigrantach tanią siłę roboczą. Po drugie, w kulturze niemieckiej silnie obecne jest dążenie faustyczne, przejawiające się w zamiłowaniu do wielkich projektów – tym bardziej pociągających, im mniej możliwych. Po trzecie, w niemieckiej świadomości zakorzeniony jest silnie „kompleks holocaustu”. Przyjęcie przez Niemcy milionów muzułmanów ma być aktem skruchy, zbiorowym oczyszczeniem z traumy nazizmu i żywym świadectwem moralnej wyższości nad innymi.

Niemcy zapominają jednak, że inne kraje Zachodu nie muszą zabiegać o świadectwo moralności. Upór Merkel rodzi odwrotne skutki od zamierzonych. Niemiecki „imperializm etyczny” już teraz dzieli Europę. Dodatkowo wygrana Trumpa i jego ostatnie decyzje pokazują, że polityka otwartych drzwi przestała być

dogmatem. Nowa strategia prezydenta USA – przy wszystkich kontrowersjach związanych z jego konkretnymi decyzjami – jest dla niemieckich elity politycznych niebezpieczna, uświadamia bowiem światowej opinii publicznej, że w dzisiejszym zglobalizowanym świecie można otwarcie bronić własnych granic.

I to dla wielu Niemców jest nie do zniesienia. Oni przecież muszą udowodnić światu, że nie są rasistami. A świat powinien uznać ich moralne przywództwo.

Autorstwo: Piotr Ślusarczyk

Źródło: Euroislam.pl